Tom X. Nr. 2.

11. Stycznia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kmieć Michałko

rotmistrz wojska polskiego.

We wsi Sosnowce stoi od dawna szkoła, aż miło popatrzyć się na to. Budynek jakby plebania jaka z oknami wielkiemi, a w około ogród i sadowina, jakby gaj jaki. Dzieci tam jak mrowia, a to wszystko wesołe i umyte i ogarnione, jakby to było święto jakie wielkie. To sobie śpiewają, to czytają, to piszą, to rachują liczby, i wiedzą ci z pamięci opowiadać różności, aż miło posłuchać — a broń Boże zrobić komu na wsi szkodę jaką, albo zaśpiewać na polu przy chodobie jakie paskudstwo, albo przezywać drugiego, albo nieposzanować starszego. Jest tam w tej szkole profesor, co to chodził sam do tej szkoły kilka roczków i wyuczyłci się dokumentnie tak wszystkiego, że teraz potrafi sam nauczyć drugich. Był on pierwej pastuchem, jak inne dzieci, ale że lubił się uczyć i do szkoły raznaraz chodzić przez południe, to sobie tak wymiarkował każdy

druk i każde pismo, że mu tam teraz furda każda xiążka, choćby wyszła z Krakowa, ze Lwowa albo i z Warszawy. Lubi go też niezmiernie cała wieś, xiądz i dwór i dałci mu Pan Jezus chleba dosyć, a jego dzieci chodzą już w mieście do szkoły, i wyjdą z pomocą Bożą na xięży i panów jakich. Otóż raz przyniósł sobie do szkoły jeden szkolarz Tomuś ładny obrazek, co mu dał pan na kolędę. Na tym obrazku był śliczny koń, a na koniu siedział jakiś wojak, czapka na głowie z piórami pawiemi, kapota z niebieskiego sukna, a guziki to tak świecące, jakby były z ognia porobione. Na spodzie był podpis taki:

Michałko chłop, co został rotmistrzem wojska polskiego i wielkim panem, przezwanym pan Michałko Michalski.

Wszystkie dzieci opatrywały ten śliczny obrazek i mlaskały sobie przez oskominę, że się im któremu niedostał. A Tomuś szkolarz dostał go od pana za to, że ładnie kolendował i coś mu pięknego z pamięci opowiedział. Gdy przyszedł do szkoły pan profesor, pokazał mu Tomuś ten obrazek i spytał:

— Proszę pana profesora, co to za jeden ten pan, co stoi wymalowany na tym obrazku?

Pan profesor opatrzył, podumał trochę i tak na to odpowiedział:

— Ten pan wymalowany, to był tak prostym chłopem polskim, jak wasi ojcowie i wy moje dziatki. Miał onci ojca chudzinę wielkiego, za młodu pasał bydło jak wy teraz, a jeno przez ciekawość swoją wyuczył się od wiejskiego organisty na xiążkach, i potem chodził z xiążką na pole, w domu nie mitrężył nigdy, ale po robocie otwierał xiążkę i czytał po całych godzinach, a organista dodawał mu ochoty i pożyczał mu przeróżne xiążki. I wyuczył ci się tak wszystkiego, że wiedział po imieniu nazwać wszystkich królów polskich, wiedział, co się działo po wsiach i miastach polskich i na całym świecie i niedałci się nikomu w pole wyprowadzić ani zbałamucić, a każdemu uciął prawdę, aż mu w pięty poszło nieraz.

A Tomuś nadsłuchując tego przemówił:

— Toby taki prosty chłopak i pastuch został aż takim panem, kiedy on nie miał nic a nic co się nazywa — i zacóżby on był takim panem?

Pan profesor, głaskając Tomusia za to, że taki ciekawy do dobrego, powiedział na głos:

— Widzicie dziatki moje! Jak żył na świecie ten Michałko, to już temu dobrze 200 lat. Był wtedy królem polskim Jan Kazimierz i siedział sobie w naszej pięknej Warszawie. A w całej Polsce było po tamte czasy nienajlepiej, bo to były straszne wojny: Tatarzy poza Lwowem razem z Kozakami wydziwiali co niemiara to na xięży, to na kościoły, to na dziedziców i nawet żydom dokuczali — to znowu Szwed trapił całą Polskę od Krakowa aż po Lwów i po Warszawę i palił wsie i miasta, a był on w zmowie z Moskalami i Tatarami i chciał wyścigać króla polskiego z Warszawy, a potem zabrać wsie i miasta i podzielić się całą Polską, jakby bochenkiem chleba albo ogrodem jakim. I niby mu się to udawało z początku, boć król polski ustąpił się napastnikowi aż za Kraków, a Szwedzi, Moskale i Tatarzy gospodarowali jak psy i koty, kiedy wlizą do pełnej komory.

A dzieci ciekawe zapytały się pana profesora:

— No! i cóżby byli porobili z Polakami wtedy ci Szwedzi i Moskale?

— A cóżby innego — rzecze pan profesor — byliby pozabierali nasze polskie kościoły i porobili z nich luterskie albo moskiewskie, a z katolików byliby porobili coby im się spodobało, a potem kazaliby gadać po moskiewsku i po szwedzku, żeby wtedy był nikt nikogo nie zrozumiał, żebyś mu i oko wyłupił i byłaby taka mowa polska, jak tych wróbli, co siadają na wierzbie i wrzeszczą i szwargoczą, że ich pono i sam Bóg z wysokiego nieba nie rozumie. Ale się inaczej stało za wolą pana Boga, bo pan Bóg nie chce zagubić Polaków, którzy bronią i bronili świętej wiary i ciągną na to, aby było najprzód dobrze Polakom, a potem i wszystkim ludziom.

Pan profesor otarł sobie gębę białą chusteczką, splunął na ziemię, schował chustkę do kieszeni i tak gadał na głos:

— Otóż widzicie moje dziatki! wtedy potracili głowy niektórzy panowie i przeszli do Szweda, a xięża nie mogli znowu się bić ze Szwedami, jeno zdali się na Boga i modlili się z ludem po kościołach i kazali czekać pomocy z nieba wysokiego. I przyszła ta pomoc na prośbę naszej Najświętszej Panny Częstochowskiej. Xiądz Augustyn Kordecki uratował z krzyżem w ręku i za pomocą chłopów i mieszczan i panów pobożnych klasztor Częstochowski od rabunku Szwedów — a jak to się stało, nuż wtedy, kto jeno żył, na Szweda, Moskala i Tatara i bij i pal i nie żałuj niewiary, aby nie załaził jak złodziej do cudzej komory, i porobiła się w Polsce czerniawa wielka, a pan Bóg dopomógł tak świętej sprawie. Ale najwięcej dokazywał ze Szwedami ten oto Michałko, co go macie na koniu namalowanego. Onci tam het! za Warszawą, gdzieto stoją miasta Toruń i polski Gdańsk, i dokądto nasi polscy Galicyani idą na flis, on sobie pozbierał takich chłopaków wsiowych i krętych i zwinnych i zuchów, jakto są drużbowie i swacia na polskiem weselu, pozasadzał ich do jednego na koniki, podawał im rzezaki i fuzye do ręki i dalejże z nimi w lasy i wąwozy i bił siarczysto Szweda, aż się sowy śmiały po lasach, a chłopi się cieszyli aż strach gadać o tem. I kroił tak kurtę Szwedom długi czas, a niektórzy panowie gadali sobie:

— Ej! co tam zrobi dobrego taki prosty chłop, co nie umie ani nabić, ani prosto strzelić, ani na koniu siedzieć, a boi się, jak zając, lada drobnego kota i ucieka przed głupią wroną, gdy mu ta nad głową zakraka głośno.

Ale Michałko mądry nie zważał nic a nic na takie niedobre gadanie i kpinki pańskie jeno robił swoje i prosił Boga, aby mu dopomógł wygnać Szwedów z Polski i uwolnić wsie i miasta od tych napastników, co napadli na Polskę, jak jastrzębie na gołębie ciche. I dopomógł mu Bóg! bo kiedy xiądz Kordecki uratował Częstochowę, to Michałko dopadł niespodzianie w nocy Szwedów, obił ich po grzbiecie doskonale i odebrał im miasto Słuchów i osiadł sobie tam jakby król jaki i nazwoływał chłopów kilkaset do siebie, wyuczył ich musztry i z nimi wygnał Szwedów z miasta Sztargardu i Lipinek, i

miał odtąd swoje chłopskie wojsko takie, żeby się nie pomieściło we wsi ani w mieście jakiem.

Pan profesor kazał teraz Tomusiowi to wszystko powtórzyć, a gdy mu Tomuś to na włos jeden bez myłki opowiedział, więc przykazał dziatkom uważnie słuchać i tak dalej opowiadał:

— Jak jeno Michałko odebrał aż trzy miasta Szwedom i miał swoje chłopskie wojsko, wtedy pomiarkowali się panowie i pogadali jeden z drugim w ten sens:

— A widzicie panowie bracia i panowie gromada! że ten Michałko to zuch nielada! ta onci ciągnie na dobre i broni nasze kościoły święte i nasze dwory od tych bezecnych łupieżników i nie daje im rabować nasze spichlerze i komory, ani nie daje do złego nawodzić nasze biedne dzieci i ratuje naszego króla, wsie i miasta — a widać, że ma rozum i jest sztuder dobry i potrafi z majki zajść i wytrzepać plecy tym wilkom, co łupią kościoły, aż się niedobrze robi człowiekowi każdemu. Otóż pójdźmy do niego i niech on nas poprowadzi, a dopiero razem natrzemy uszów tym łakomcom, co mają wilcze gardło, a co zobaczy to by żarło. — I poszli panowie z dworakami, ogrodnikami, kuchtami i złączyli się razem, a wtedy dopiero była bieda dla Szwedów, Moskalów i Tatarów, aż się Anieli radowali na wysokiem niebie. A Michałko witał ich z swoimi wojakami i płakał z uciechy. Przyszło na pomoc Polakom i cesarskie wojsko, a Michałko przyłączył się z swojem wojskiem do nich i poszli razem wygnać Szwedów z miasta Turunia. Ale niewiary Szwedy podeszli Michałka tak, że mu nie było można ani wprzód ani nazad i byliby mu wycięli wojsko jego do nogi, ale Michałko powiedział tak Szwedom:

— Naco zabijać darmo tyle ludzi dobrych! ot macie mię samego, róbcie sobie teraz ze mną, co wam się żywnie podoba, a to moje wojsko niech sobie idzie z Bogiem do domu.

Ale chłopi powiedzieli Szwedom:

— My nie damy jak życie naszego Michałka, chyba nas tu do jednego wybijecie.

A Michałko rozpłakał się na to i powiedział:

— Moiściewy ludzie! Bóg wam zapłać za takie przywiązanie, ale miarkujcie sami, że mniejsza szkoda jednego, niż was wszystkich, zginę ja jeden, to wy wszyscy zostaniecie, a przecież wy możecie jeszcze więcej dobrego zrobić dla naszego króla polskiego, niż ja sam jeden.

I jak zaczął ich prosić na miłość Boga i na święte rany pana Jezusa i na wszystkich świętych, aby sobie wrócili do domu spokojnie, a jego Szwedom zostawili, dopiero wtedy zaczęli się chłopi rozchodzić z płaczem i lamentem wielkim, a Michałka zostawili w Toruniu mieście, którego potem Szwedzi okuli strasznie i powieźli na śmierć do miasta Malborga i tam przy wielkiej warcie zamknęli.

Na to gadanie aż potruchlały dzieci w szkole, a Tomuś ciekawy poderwał:

— No! cóż robili Szwedy z tym Michałkiem?

A dzieci krzyknęły:

— Może go i zabili?

— Ale gdzie tam, moje dzieci — mówił pan profesor — dobrego człowieka strzegą anieli święci, a gdzie nieszczęście największe dla kogo, tam pomoc boża najbliższa, — dobry nigdy marnie nie ginie. Otóż tak się porobiło i z Michałkiem. Ci chłopi, co to go zostawili u Szwedów, nie poszli do domu spokojnie, jeno polecieli do pana Czarneckiego, co to miał swoje polskie wojsko i bił dobrze Szwedów na innej stronie i powiedzieli mu z płaczem:

— Panie hetmanie nasz polski! ratuj naszego brata Michałka, bo go złapali Szwedy i pewnie go zastrzelą, a on dobry polski chłop i bił Szwedów po tybinkach i tyle ich zabił, żeby ich nie pochował na wielkim cmętarzu.

A pan hetman Czarnecki, co to miał pod sobą całe polskie wojsko i sprowadził króla polskiego nazad do Warszawy i uwolnił kraj polski od nieprzyjaciela, tak się odezwał:

— Nie bójcie się nic a nic, moi dobrzy ludzie! ani jeden włosek nie spadnie z głowy temu Michałkowi; mam ja w areszcie jenerałów szwedzkich, i ja zaraz napiszę, aby mi Michałka puścili, bo jeźli oni mu co złego zrobią, to ja ani jednego jenerała Szwedów nie puszczę żywego.

I tak się też stało zaraz. Szwedzi przeczytali list z wielkim strachem, pobledli i puścili na wolny wiater Michałka, który też przyleciał co tchu do Warszawy i tam sobie paradował pyszny i z miną wielką, na bakier czapka, ręce po pod boki jakby jaki król.

A działo się to w Warszawie roku pańskiego 1659.

A dzieci klasnęły w dłonie z radości i pytały:

— A dostał on też co za to od króla polskiego?

— A jużci, że tak a nie inaczej — mówił pan profesor — bo to wtedy zjechało się tylu panów, biskupów, xięży, i chłopów do Warszawy, jak gwiazd na niebie, a było tam radości co nie miara, że się Bóg ulitował nad polskim krajem i uwolnił go od złych ludzi.

I jak jeno Michałka zobaczyli paradującego, noż go całować, witać, pozdrawiać, wychwalać pod niebiosa, i dalej go za ręce z obu stron i ciągnij go przemocą do samego króla, a on nieboraczysko spraszał się i gadał zapłakany:

— Dajcie mi pokój panowie! ja zrobiłem to, co mi pan Bóg przykazuje — toż i chłop ma rozum swój od Boga i powinien za bratem swoim obstawać i podać mu rękę w biedzie i w tarapatach jego — ja też jako katolik broniłem święte ołtarze i cudzą pracę od napaści złych ludzi, i tak każdy robić powinien — ale zapłaćcie tym chłopom, co byli razem ze mną na wojnie.

Ale nic nie pomogło jego dobre gadanie, jeno go porwali na plecy i ponieśli do króla samego. Wtedy król wstał z swego stołka i mówił:

— Otoż mój Michałku dobry! choć ty z prostego i biednego stanu pochodzisz, to ty dziś znaczysz tyle, co i pan hetman Czarnecki i xiądz Kordecki i pan Lubomirski — ty od dziś masz odemnie wielkie sołtystwo, masz dukatów pełny worek, abyś sobie miał za co budynki paradne postawić, a odtąd będziesz panem i bratem naszym i przezwiemy cię Michałko Michalski, dajemy ci klejnot szlachecki Radwan i robimy cię do śmierci rotmistrzem to jest takim kapitanem przy naszem królewskiem wojsku i chcemy, abyś był szczęśliwy z twoją rodziną na wieczne czasy. Amen.

A dzieci uradowane krzyknęły w szkole:

— Aha! to to dla tego siedzi on sobie na takim paradnym koniku i ma taką sutą kapotę i guziki, aż się w oczach mieni.

A pan profesor dodał:

Róbcie i wy tak, moje dzieci, jak was pan Jezus wychowa, a będziecie szczęśliwe.

X. Wojciech z Medyki.

HYMN

do najświętszej Panny Maryi, królowej polskiej,

nadesłany z Królestwa Polskiego.

Matko Maryo! o królowo nasza,
Polska, Ruś, Litwa z łzami Cię uprasza:
Ratuj nas ratuj, jako swej własności,
Nie daj nam zginąć od moskiewskiej złości;
Bo nieprzyjaciel w okrócieństwie srogi,
Zbroczył morderstwem świątyń Twoich progi,
Krzyż święty zrąbał, za wiarę katuje —
Niech się Twe serce nad nami zmiłuje.

Okropne dzieje czasy nam przyniosły,
Nad krajem łuny, pożogi się wzniosły,
Xięży i starców, niewiasty i dziatki,
Morduje Moskal, ścina jako kwiatki;
Z ojczystej ziemi w niewolę wygania,
I ludziom modłów do Boga zabrania,
Pragnie świat cały srogością zniweczyć,
Kościół zrujnować a szyzmę zaszczepić.

Maryo! o zgrom tych, co zwykli się chlubić,
Co radzi kraj nasz do czysta wygubić,
Osłoń nas tarczą, oddalaj postrzały,
Tyś nasza twierdza, ochrona, mur trwały.
Nie z zasług naszych, lecz z Twojej przyczyny,
Błogosław mężnych, kraj ochroń z ruiny,
I narodowi daj błogosławieństwo,
Poległym Niebo — walczącym zwycięztwo!

Jan Jankiewicz.

Złośnica poprawiona.

W pięknym Zagórskim kościele już się summa skończyła, poczciwy lud posilony słowem Bożem, w pokorze chylił skronie uznając wraz z kapłanem swoją niegodność przed obliczem Pana niebios i ziemi; lecz zaledwie umilkł głos dzwonka, oznajmujący chwilę uroczystą kommunii, kiedy mimowolnie oczy wszystkich zwróciły się ku głównym drzwiom świątyni, przez które właśnie strojna drużyna weselna weszła tłumnie, posuwając się ku wielkiemu ołtarzowi. Jakoż po skończonem nabożeństwie organista wszedł na chór powtórnie i nosowym swoim głosem zanucił: *Veni Creator*, a czcigodny xiądz proboszcz zwykłem błogosławieństwem połączył na zawsze młodą parę. W pół godziny potem zaturkotały wózki, zabrzmiały ożywione głosy weselników, zarzępoliły skrzypeczki i cała drużyna znikła w tumanie kurzawy na drodze ku Klimontowu.

— Moiściewy, — pytała stara Pirogowa swojej sąsiadki Sobkowej — zkąd też to temu Bielakowi przyszło do głowy żenić się z Jagną wdową po Kłokocie.

— Alboż ja wiem, — odparła kiwając głową zagadniona, musiał chyba rozum stracić chłopisko, żenić się z wdową, kiedy jest tyle urodziwych dziewek we wsi, a jeszcze z taką jędzą, co nieboszczyka męża we dwa lata zagryzła.

— Złakomił się chyba na piękną gospodarkę — dodała pierwsza, boć to jak powiadają ludzie: U wdowy chleb gotowy.

— Gadajcie ta zdrowi kumo, jużbym ja tam jednak niechciała kosztować tego chleba u Kłokociny, żebym była chłopem — przerwała ze śmiechem Pirogowa.

— Nie dziw moiściemy, bo macie już stare zęby, Bielak zaś mają młodsze, to sobie jakoś poradzą. Kiedy tak sobie gwarzą gadatliwe kumoszki, nasi weselnicy jadą sobie het gościńcem, pokrzykując i pośpiewując na przemiany. Już mieli skręcać na bok ku wiosce, mijając dużą przydrożną karczmę, kiedy wtem nagle pan młody siedzący na pierwszej bryczce zatrzymał konie i dał znak do wysiadywania reszcie jadących.

— Ej! chyba się nie zatrzymujmy już w tej karczmie Marcinie, bo i tak już dosyć późno, zawołała chwytając za lejce Jagna.

— Właśnie też dla tego że późno, poweselemy się trochę tutaj ze swatami i sąsiadami, a potem zaraz wsiądziemy oboje na wózek i dalej wio do Łazic, gdzie nas w chałupie czeka moja poczciwa matusia z chlebem i solą.

— A to co znowu! czy sobie zemnie pokpiwacie — krzyknęła dawna Kłokocina, zaczerwieniwszy się razem z uszami, toć wiecie że wszystko w chałupie mojej przygotowane na wesele, mięsiwo, kołacze, kiełbasy, piwo i wódka, a siostra Jędrzejka pewno nas już niecierpliwie wyczekuje.

— Kołacze i wódka i te tam inne łakocie, i tu nas nie miną Jago, a w chałupie twojej dobrze że sobie Jędrzejka z parę dni posiedzi, nim przyjdzie Wojtek Jemioła z Gołonoga, któremu już obiecałem puścić dzierżawą twoją gospodarkę — rzekł najspokojniej Bielak, gwałtem prawie zesadzając z bryczki rozzłoszczoną żonę. Tymczasem inne wózki zatrzymały się przed gospodą i wszyscy weselnicy weszli za Bielakiem i z Jagną do izby.

Nie próżno też przyrzekał nasz pan młody, że nie zabraknie im tu na rozmaitych weselnych łakociach, bo jakoś niespodzianie znalazło się wszystkiego dostatkiem, a Bałbrzycha, siostra jego, tak skrzętnie szła w pomoc karczmarzom, że wkrótce na twarzach wszystkich ucztujących widno było radość.

No! a teraz rznij muzyka! — krzyknął rozochocony Marcin, porywając wpół nadąsaną Jagnę.

— Weźcie sobie kogo innego! — oburknęła się nowozaślubiona, — bo mnie wcale taniec nie w głowie.

— Hola! moja imość, a kto tu panem! wrzasnął jej nad uchem nowy małżonek, spojrzawszy jej w oczy tak groźnie, że nie mając już odwagi pomyśleć o dalszym uporze, wstała z ławy i poszła z nim na środek izby. Niedługo jednak trwały tańce bo wieś Łazice, w której mieszkał Bielak, była dość odległą, pożegnawszy się więc jak najserdeczniej ze swymi gośćmi, państwo młodzi wsiedli na wózek i odjechali do domu, po-

mimo dąsania Jagny, która aż płakała ze złości, że jej mąż taki wstyd zrobił przed ludźmi, i do tego zaraz po ślubie wiezie ją do swego domu, gdzie musiała słuchać i pracować jakby nie u siebie

Poczciwa, stara matka Marcina, chlebem i solą przyjąwszy w progu nowożeńców, wprowadziła synowę do chałupy i rozpytując o to i owo, pragnęła przywrócić jej znaną sobie dawniej wesołość, ale Jagna była ciagle zachmurzona, a kiedy Marcin wyszedł z izby za jakąś gospodarską sprawą, poczuwszy że w końcu będzie się mogła pomścić na kimś za doznany opór swojej woli, jęła złośliwemi słowy dogadywać staruszce i jak szara gęś gospodarzyć po izbie, rzucając i tłuc wszystko co się jej dostało pod rękę.

— Słuchajno! — krzyknęła na wchodzącą dziewkę, wskazując jej wielki garnek stojący na piecu, wyrzućno gdzie te śmiecie, bo się skorupa przyda na co innego.

— Ależ Jaguś moje dziecko, co też ty wygadujesz, toć to nie żadne śmiecie jeno czyste konopne nasienie, com je sama wieczorami wybierała do siewu.

— Czego stoisz gamoniu? — wrzasnęła nie uważając na słowa starej złośnica, uderzając w kark dziewkę, słyszałaś że ci kazałam wyrzucić to plugastwo.

Dziewucha skoczyła jak oparzona i sama prawie niewiedząc co czyni, rzuciła garnkiem o ziemię. Piękne ziarno konopne rozsypało się po ziemi, staruszka chciała je pozbierać, lecz Jagna z złośliwą radością chwyciła miotłę i zagarnęła je wraz z innemi śmieciami pod komin; ale w tejże chwili Marcin, który pode drzwiami wysłuchał całą sprawę, wpadł do izby i chwyciwszy za kark gapiowatą dziewkę począł ją porządnie okładać kijem, wołając za każdą razą: A hultajko! a niegodziwa! co mi tu będziesz wydziwiała breweryę w chałupie, pamiętaj sobie że dla dobrych jestem dobry, ale kto mi się poważy pomiatać matką moją, albo w czemkolwiek hardo się stawi, temu gotów jestem wszystkie kości połamać, a jak raz co powiem to i dotrzymać potrafię.

Struchlała Jagna i jakoś naraz zrobiło się cicho w izbie, nie jakby rozsypano konopie, ale jak to powiada przysłowie:

jakby makiem zasiał; wkrótce też i noc nadeszła, pogasły światła w chatach, gwiazdki zaiskrzyły na niebie, i tak się skończył nareszcie dla Jagny ten dzień pamiętny, który się spodziewała zupełnie inaczej przepędzić.

Jakoś we dwa lata potem, przed samą Wielkanocą, stara Pirogowa oprzątnąwszy krówkę szła z pełnym skopkiem do chałupy, kiedy głośne: Niech będzie pochwalony! zabrzmiało jej tuż koło uszu i wesoła rumiana twarz Sobkowej ukazała się we drzwiach. Na wieki wieków! a zkądże to kumosiu, zawołała Pirogowa, wyciągając przyjaźnie rękę ku przybyłej. — O! zdaleka, zdaleka, moiściewy złoci, bo aż z Łazic, odrzekła spiesznie Sobkowa.

— A pocóż aż tyli świat drogi kobieto, zagadnęła ciekawie stara.

— Otóż widzicie moja czubata kura zaczyna mi kwokać, a że tu we wsi nigdzie jaj nie mogłam uprosić, Jędrzejka mi naraiła do Łazic do Bielaków, bo tam tego mają co niemiara.

— Moiściewy! — zawołała Pirogowa, a jak też tam sobie Marcin radzi z tą Jagną złośnicą?

— Ho! ho! ho! zaśmiała się Sobkowa—anibyście jej teraz nie poznali, taką dobra i słodka jak miód lipcowy.

— To być nie może! przerwała stara, toć cała wieś nasza jędzonką ją nazywała, a nieboszczyk Kłokot drżał przed nią jak baranek przed wilkiem.

Otóż widzicie że tak jest, a stara Bielaczka nie mogła mi się dość nachwalić, jak ją synowa kocha i szanuje — dodała przekonywającym głosem Sobkowa.

— A to cud Boski — zawołała stara kiwając głową z największem podziwieniem.

— Nie cud to żaden moja kumo, — dowodziła mądra Sobkowa, znacie przysłowie, co to powiada: trafiła kosa na kamień, a jako kosa kiedy na kamień trafi musi się wyszczerbić, tak też i nasza Jagna, poznawszy że ma do czynienia z takim co jej się nie zlęknie, zmiękła nagle i musi skakać jak jej Marcin zagra.

— Oj! święte wasze słowa kumosiu, przyświadczyła Pirogowa i pożegnała Sobkową, której pilno było z dobrą nowiną

do drugich, co też wkrótce najjawniej przekonali się z pożycia Bielaków, że mądry a uczciwy małżonek to w każdym stanie potrafi zwrócić na dobrą drogę, choćby i najgorszą kobietę.

Piękne przykłady.

Pisanie Wawrzka i Kuby do pisarza Dzwonka, o nabożeństwach w Dubiecku.

Ośmieleni Waszem uprzejmem wezwaniem, aby donosić do Dzwonka o każdym pięknym przykładzie i zdarzeniu, dajemy wam do wiadomości rzecz taką. Dnia 24 grudnia pochowaliśmy sąsiada naszego, Wojciecha Ilka, prawego syna polskiej ziemi, za której wolność walczył w roku 1831. Pogrzeb odbył się bardzo rzewnie i pięknie; na trumnie przybito wianek z cyprysu, a licznie zgromadzeni ludzie pobożni świadczyli o chęci oddania czci zasłudze, którą zmarły zjednał sobie miłując tak gorąco Ojczyznę.

Zaś jeszcze dnia 7 października odbyło się u nas także nabożeństwo żałobne za braci naszych, którzy polegli w walce z Moskwą. Odprawiło się ono za staraniem mieszczan tutejszych. Na środku kościoła stał katafalk pięknie bardzo w kwiaty ubrany i bardzo jasno oświecony, na którym odbijały dziwnie pięknie kosa z krakuską. Po obu stronach katafalku stały dziewczęta wiejskie i miejskie, także panny szlacheckie, w grubą żałobę ubrane, z wieńcami w ręku. Wszyscy modliliśmy się szczerze i gorąco. W ciągu mszy świętej zbierano składkę na rannych braci naszych, i uzbierano 41 reńskich nowych, które odesłaliśmy do szpitalu w Cieszanowie.

Po zakończonem nabożeństwie odśpiewaliśmy klęczący pieśń do Matki Boskiej przenajświętszej, błagając ze łzami przeczystą Panienkę o wyjednanie dla nas miłosierdzia Bożego.

Z Dubiecka 27 grudnia 1863 roku.

Wawrzek i Kuba Lis.

Zacni kmiecie
Tomasz Łudzik i Ludwik Furgalski.

Stało się niedawno w Królestwie Polskiem takie zdarzenie. Okrótnicy Moskale, którzy tam straszne rzeczy dokazują, nakazali byli, aby wszyscy panowie zapłacili kontrybucyę, to jest podatek ogromny a który się już żadnem prawem nie należał Moskalowi. Gdzieindziej toby takiej niesprawiedliwości nie uczyniono, ale Moskaliska gotowi do wszystkiego, i rabunków takich się nie wstydzą. Otóż skoro jeno wydali ów rozkaz, zaraz posłali wojsko z exekucyą, i każden musiał wnet zapłacić. Jużci zdarzyło się nieraz, iż niejeden nie miał pieniędzy, drugi jeszcze o niczem nie wiedział i nie miał czasu postarać się o pieniądze. Wtedy Moskale przedawali mu dobytek i niszczyli tak ludzi.

Przyszła taka exekucya do wsi pana Józefa Majzla. Pana dziedzica nie było w domu, a Moskale nie pytając na nic, powiedzieli, że kiedy niema pana w domu i niema komu zapłacić kontrybucyi, to oni zaraz sprzedadzą cały dobytek, aby odebrać pieniądze. Patrzcież mili ludzie, co to za okrótniki! Byliby zaś tak z pewnością uczynili, gdyby nie dwaj zacni gospodarze, Tomasz Łudzik radny dawniejszy i Ludwik Furgalski sołtys ze wsi Kucice. Ci obaj pożałowali dobrego pana, poszli do starszego Moskala i powiedzieli mu, że oni własnym dobytkiem ręczą za pana dziedzica, iż zapłaci kontrybucyę, a niech mu nie sprzedają nic i szkody nie robią. Że zaś są obaj ludzie poważni, to ich nawet Moskal usłuchał i przyjął zaręczenie, a już nie marnował cudzej pracy.

Jużci gospodarze Tomasz i Ludwik bardzo pięknie sobie postąpili. Przeto należy się im od wszystkich pochwała, cześć i dobra pamięć za to, iż dla bliźniego nie wahali się uczynić tak znaczną ofiarę. Więc tu o nich dlatego piszemy, aby sobie każden dobrze spamiętał ten piękny przykład, i jak się zdarzy okazya, aby każden wedle tego przykładu postąpił sobie.

RÓŻNOŚCI.

Nabożeństwo żałobne. Dnia 14 grudnia odbyło się w Komornie żałobne nabożeństwo za dusze braci naszych, którzy polegli w wojnie z Moskwą. Nabożeństwo to sprawili mieszczanie tameczni, a także wieśniak pewien ze wsi Chłopy. Było ono bardzo piękne. Na środku kościoła ułożono kopiec z mchu, a na nim stała trumna. W około mnóstwo świec było, a na trumnie leżała konfederatka, karabela i krzyż, a to iż równie za żołnierzy było ono nabożeństwo jak i za xięży, których Moskale w wojnie pomordowali. Ludzi pobożnych było mnóstwo, i wszyscy gorąco modlili się do pana Boga, aby braci naszych przyjął do chwały swojej.

Dowcipne dziecko, Mieli jedni gospodarze dzieciaka ogniście dowcipnego, bo to chłopczyna był jeszcze bardzo mały, a już nieraz tak mądrze cosik powiedział, że i starego zakasował. Toż na całą okolicę słynął ów chłopczyk z dziwnej mądrości, co się też nieraz trafia między naszym ludem polskim. Za poradą pana dziedzica dali go rodzice uczyć na xiążce, ale iż jeszcze był bardzo młody, więc doma siedział najwięcej, a do szkoły miał go pan oddać do miasta, jak urośnie. Otóż zdarzyło się razu jednego, iż przyszedł do owych gospodarzów w odwidziny znajomy aże z trzeciej czy z czwartej wsi. Miałci on także dzieci, ale głupiuteńkie i niezdary, bo ich też źle wychowywał. Otóż zobaczywszy on chłopca owego i nasłuchawszy się, jak on mądrze prawi, zdziwował się okrutnie i zazdrość go wzięła, iż jego dzieci nie są takie mądre. Więc przez złość powie nakoniec do rodziców chłopaka:

— Jużci moi mili bardzo mądry i dowcipny wasz chłopak, ale nie cieszcie się nim tak bardzo, bo zazwyczaj bywa tak, iż dzieci bardzo rozumne i dowcipne głupieją na starość.

Chłopaczek mały słyszał to, i rzeknie duchem do owego gospodarza:

— Oj gospodarzu prawdę mówicie, i widać żeście byli bardzo mądrem dzieckiem.

Odważny ogrodniczek Wojciech Zawadzki i komornik Gil. We wsi Weryni w obwodzie Rzeszowskim wybuchł dnia 15 grudnia ogień. Zajęła się chałupa kmiecia Dziuby, i okrótnie go biedaka zniszczył pożar, bo i dom mu zgorzał i stajnie z dobytkiem całym, gdzie było 5 sztuk bydła i para koni. Otóż przy tym ogniu odznaczył się bardzo ogrodniczek Wojciech Zawadzki i komornik Gil, którzy ratowali Dziubę z całych sił, a najbardziej Zawadzki rzucał się z wielką odwagą i z narażeniem się do gorącej chaty, zkąd wynosił rzeczy, i tym sposobem prawie cale mienie Dziuby uratował.

Jestto bardzo piękny przykład, o którym warto aby wszyscy wiedzieli, więc dlatego o nim dajemy w Dzwonku wiadomość. Pan Bóg widocznie strzegł

Wojciecha od przygody, a to dlatego, że z miłosierdzia i z dobrego serca ratował bliźniego. Niech więc każdy o nim pamięta, i niech go sobie przy sposobności bierze za przykład.

Do Nowin ze świata napisano taki list: Uprasza się o podanie do wiadomości, jako górnicy z kopalni w Tenczyńskiem, ze wsi Mirowa wszyscy a z Rudna i Grojca niektórzy, złożyli się na nabożeństwo za poległych braci w sprawie oswobodzenia ojczyzny. i takowe odbyło się dnia **12** grudnia w parafii Poręba, gdzie ludność wiejska jako i sąsiedni panowie znajdowali się na tym pięknym obchodzie.

Podczas nabożeństwa zebrali ze składek około **30** reńskich na wsparcie rannych braci.

Wilk wściekły. Był znowu straszny wypadek z wilkiem, a to jeszcze **14** grudnia zeszłego roku. Do wsi Pieczygór wpadł onego dnia wilk, i to pewnikiem wściekły, i rzucił się na troje ludzi, którzy szli drogą. Ci krzyczeć zaczęli, a na ten krzyk wybiegli inni ludzie z kijami, ale wilk rzucił się na nich i pokaleczył jeszcze dziesięciu ludzi, a także jednego konia. Zaś potem poleciał do wsi Ulmówka, i tam znowu dziesięcioro ludzi pokaleczył. Tamże w Ulmówku włościanin pewien, nazwany Wasilaszko, pochwycił wilka za uszy i siadł na niego, a drugi wieśniak zaczął wilka smarować pałką po łbie, że aż wilczysko upadł. Zaś niebawem zerwał się i jeszcze kawał drogi uszedł, aż go nareszcie dobito. Zaś owych dwadzieścioro i dwoje ludzi, których wilk pokąsał, musiano aż do Lwowa przywieść do szpitalu, bo bardzo są chorzy. Także w całej okolicy jest przestrach okrótny, bo nietylko ten jeden wilk tam się zjawił, ale iż okolica ona jast na granicy, to i więcej tam ich przychodzi. Moskale bowiem robią obławy na wilki, i przepędzają ich do naszej Galicyi, więc się tu namnożyło bez miary wilczysków, wściekłych i złych jak rabusie Moskale.

Przypowieści.

1. Bóg nie opuści, kto się nań spuści.
2. Dobry chleb, gdy niema kołacza.
3. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.
4. Dziurawego worka nie napełnisz.
5. Mała iskierka największy pożar roznieci.
6. Kiedy głupi milczy, to za mądrego ujść może.
7. Kruk krukowi oka nie wykole, a cygan przeciw cyganowi nie będzie świadczyć.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**